

JERZY ANDRZEJEWSKI



PROZY WYBRANE
TOM 1

Opowiadania
Ład serca

Posłowiem opatrzył Andrzej Skrendo

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

KONIEC

(1933)

Turkotowi wozu towarzyszył dobrze znany brzęk blaszanych baniek i łańcuchów. Był to znak, że Owczak mija kościół św. Jakuba i za chwilę będzie na miejscu.

Gielbard wiedział, że w tym momencie powinien przerywać sprawdzanie rachunków i wyjść spoza kontuaru, aby pochylić się nad ciemną piwnicą. Gdy wóz się zatrzyma – będą już tylko brzęczeć łańcuchy. Na dworze jest jeszcze szarawo, ale nawet z zamkniętymi oczami można sobie łatwo wyobrazić ruchy towarzyszące podobnym dźwiękom: muszą być szerokie i zamaszyste; rzecz jasna, że człowiek słaby i szczupły nie mógłby z takim rozmachem rozplątywać pogmatwanego żelastwa, konieczne były do tego szerokie plecy i długie ręce Owczaka. W jego niecierpliwych palcach łańcuchy dźwięczały niecierpliwie jak na alarm. Trzeba się śpieszyć, już jest późno, najwyższy czas, żeby sklep otworzyć. Zimno. Dlaczego gaz się nie pali? I gdzież jest ta piwnica? To zabawne – myślał, nie ruszając się – ale jak człowiek podchodzi do piwnicy, to z początku widzi tylko ciemny i chłodny otwór, zupełnie grób. Zawsze miał wrażenie bliskości cmentarza, kiedy pochylony nad mrokiem, z którego wyłaniał się dość dziwny, podobny trochę do pary krzywych nóg, pałakowaty zarys drabiny, musiał krzyknąć: „Władka, Owczak przyjechał!”. Tak było codziennie. Lecz teraz ledwie uchwycił własny głos, a brzęk łańcuchów stał się naraz niezrozumiale bliiski i natarczywy – stwierdził, że coś jest nie w porządku.

Stał wśród ciężkich ciemności, pochylony nad piwnicą, której nie widział, i z trudem oddychał, z takim wysiłkiem, jakby mu jakiś ciężar przygniatał piersi. Powietrze było gęste, mogło się zdawać, że pełno w nim sadzy. Dlaczego tak ciemno? – zaniepokoił się. Przecież wchodząc do sklepu zapalił, jak zwykle, gaz. A może zapomniał? Chciał się oprzeć o kontuar, aby poszukać zapalek, lecz natrafił na próżnię i uczył, że traci równowagę. Szybko się cofnął. Tego tylko jeszcze brakowało, żeby zleciał do piwnicy. Wprostował się. Śnieg będzie padać – pomyślał – dlatego takie ciemności, szkoda, targi się zmniejszą, ale tak czy inaczej Owczakowi nie można kazać czekać za długo, to oczywiste, tylko po co on tak gwałtownie szarpie tymi łańcuchami, pali się czy co? A Władka też by się mogła odezwać, nie zasnęła chyba w piwnicy? Bóg raczej wiedzieć, co ta dziewczyna robi po nocach, że za dnia chodzi ciągle senna i porusza się jak mucha w kleju... Jeszcze raz krzyknął: „Władka, Owczak przyjechał!”. Był pewien, że zawołał dokładnie w tym kierunku, w którym musiał się znajdować piwniczny otwór. I nie zawołał – czuł to dobrze – dychawicznym szeptem, jak ten szczur, administrator domu. Nie, gdzież tam! Krzyknął swoim niezmiennie silnym i krzepkim głosem, przed którym: ho, ho! – ucieszył się chełpliwie – jeszcze i teraz, jak za dobrych czasów Domu Handlowego – Antoni Gielbard, drżąc niektórzy ludzie, na ten przykład Władka... W normalnych warunkach głos powinien jak kijem przeciąć czarną plamę, zapaść się w głąb piwnicy i tam zadudnić donośnie: „Właaadka!”. Tymczasem była cisza. Gorąco uderzyło Gielbardowi do głowy. Chyba jeszcze raz krzyknąć?

Ogarnęło go nieprzyjemne podniecenie. Przecież to niemożliwe, jakże tak może być? Jest chyba przytomny: na ulicy przed sklepem stoi Owczak z mlekiem; za chwilę powinien zjechać furgon z pieczywem; w piwnicy – gdzież ona jest, do ciężkiego diabła? – siedzi Władka; trzeba w przylegającej do sklepiku kawiarni zrobić porządku, poustawiać stoliki i krzesła, kurze pościerać, podłogę zamieść; zaraz przyjdzie pierwszy gość, ten – jak on się tam nazywa? – stary emeryt z przeciwka. Zawsze regularnie o tej samej porze wypija szklankę gorącego mleka, „bezw warunkowo cedzonego”; kiedyś, jeszcze z początku, Władka przyniosła niecedzone i była o to cała awantura...

Wszystko to uprzytomnił sobie nieomal równocześnie i osaczony gorączkowym natłokiem myśli doznał takiego samego uczucia zagubienia jak któregoś dnia – kiedy to było? zaraz, zaraz... – znowu wszystko poczęło się w nim plątać, gmatwać i upłynęła dobra chwila, nim zapanował nad tym swoim wewnętrznym rozbieganiem – przede wszystkim, jaki teraz mamy miesiąc, miesiąc? miesiąc? no, wszystko jedno, w każdym razie było to niedawno, przyszedł tego dnia sekwestrator i nałożył areszt na całe urządzenie sklepu i kawiarni, wszystko zajął od a do zet, niczego nie ominął, żadnego mebla nie przeoczył, naklejał te swoje karteczki i naklejał, a potem spisywał wszystko po kolei, akuratnie, systematycznie, z flegmą, takie ścierwo! – Nagła złość objęła Gielbarda, zadygotał jeszcze niewygasłą, ciągle żywą i bolesną pasją. – A mówił przecież do niego jak do człowieka: panie, zapłacę, tylko daj mi pan czas chociaż do najbliższej soboty – aha, więc to musiał być wtedy poniedziałek, oczywiście że

poniedziałek – teraz nie mam, więc co mam robić, żyły mam sobie wypruć czy pójść kogo zamordować? – a ten łobuz nawet nie odpowiedział, niechby choć słowo powiedział: tak albo nie, ale ani jednego słowa... Gielbard stał z tyłu i widział, jak spod sekwestratorskiego ołówka wybiegał ciemny sznureczek słów i cyfr, i im się ten sznureczek stawał dłuższy, tym bardziej przejmującym i coraz ostrzejszym bólem przenikał mu do serca. I co się stanie, jeśli nie będzie miał czym należności zapłacić? Może się przecież tak złożyć, pieniędzy, jak słusznie powiedział, z żył się nie wypruje, wtedy w oznaczonym terminie odbędzie się licytacja, ludzie za psie pieniądze zabiorą graty, o kupieniu nowych ani marzyć, przyjdzie budę zamknąć, i co potem, co potem? Już nie widział szerokich pleców sekwestratora ani tłustych fałdów skóry wylewających się temu człowiekowi spod przyciasnego kołnierzyka jak spod obroży, ani wydłużających się czarnych sznureczków, ani Władki bladej i wystraszonej, ani gości przycupniętych po kątach i ciekawie wybałuszających oczy. Niczego nie dostrzegał. Wszystko dokoła stłoczyło się w jeden ciemny kłęb.

Teraz stało się coś podobnego. Dokoła był tylko mrok dźwięczący brzękiem łańcuchów tak gwałtownie, jakby ten hałas miał za chwilę rozwalić ciemności. Czuł, że dłonie i stopy ma coraz cięższe, zupełnie jak z ołowiu, oddychał coraz szybciej, prawie się dusił. Przestraszony wyszeptał z wysiłkiem: „Władka...”. Ale i tym razem nie dosłyszał swego głosu. Była cisza. Zabrakło mu tchu. Czuł, że za chwilę straci przytomność. – Umieram – pomyślał. Szarpnął się więc gwałtownie, chcąc zepchnąć

z siebie tłoczący nieznośnie ciężar. I naraz doznał ulgi. Upłynęła jednak długa chwila, zanim zdołał zebrać rozproszone myśli i niespodziewanie dla samego siebie stwierdzić, że znajduje się w pozycji leżącej, równo wyciągnięty na wznak. Musiałem zemdleć – wytłumaczył to sobie – pewnie z sercem jakaś historia. O Boże, czyżbym był tak poważnie chory?

Leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami. I cóż by też Emilia powiedziała, gdyby tak nagle, ni stąd, ni zowąd wziął i umarł? Zawsze tyle mówi o jego „końskim” zdrowiu, a tu masz! Było mu dobrze i błogo, tak błogo, że się nawet nie zaniepokoił, dlaczego nie słyhać łańcuchów. Władka, kulfon jeden – pomyślał tylko – mogłaby przecież wyleźć z piwnicy i dowiedzieć się. Ale co na takiego szturmoka liczyć? Pomyślał zresztą o tym bez gniewu. Litował się nad swoim opuszczeniem i coraz większa ogarniała go błogość. Spoczywał w leniwym ciepłe, pod powiekami miał spokój łagodnie falujących ciemnych i jasnych plam. Wydawało mu się, że zasypia. A może to już była śmierć?

Nagle miejsce, w którym dopiero co brzęczały blaszane bańki z mlekiem i łańcuchy, wypełniło się pośpiesznym dudnieniem. – Pociąg? – zdziwił się. Poruszył się i pod palcami wyczuł chropowatą materię. – Kołdra – uświadomił sobie i od razu przytomnie stwierdził: – Przecież leżę w łóżku. Zrazu wydało mu się to niedorzecznością. Czyżby doprawdy była noc? Gdy ten fakt doszedł wreszcie do jego świadomości, ogarnęła go radość. Uniósł głowę.

W dole, z głuchym łoskotem, biegł pociąg. Linia kolejowa przechodziła blisko domu. Zadrżały lekko ściany,

szyba zakwiliła cienkim świergotem, lampa pod sufitem brzęknęła. I zaraz wszystko ucichło.

Teraz dopiero zastanowiło Gielbarda, jaki to mógł być pociąg. Wracał zawsze z Warszawy do Piastowa pociągiem przedostatnim, po półgodzinie czy czterdziestu minutach szedł jeszcze jeden podmiejski do Żyrardowa, a w chwilę potem leciał pospieszny z Krakowa. Codziennie słyszał oba, już zazwyczaj zasypiając. Teraz natomiast miał wrażenie, więcej, był pewien, że spał bardzo długo, przynajmniej ze trzy, a może i cztery godziny. W żadnym wypadku nie mogło upłynąć pół zaledwie godziny od powrotu do domu. Może zatem był to już pierwszy pociąg ranny?

Natychmiast wytrzeźwiał. W pokoju było ciemno. Wyssoko pod dachem pobrzękiwała monotennie jakaś blacha. Musiał być wiatr. Obok spała Emilia. Słychać było jej nierówny oddech, chwilami lekko pochrapywała.

Gielbard leżał teraz z otwartymi oczami i z niespokojnym natężeniem wpatrywał się w stronę okna, dręczony lękiem, czy w pewnej chwili czarna i nieruchoma płaszczyna nie zacznie się od zewnątrz nasycać podłużnymi szczelinami szarawego światła, niezawodnym znakiem świtu. Ale ciemność była nieruchoma. Nic nie pojmował. Chcąc sprawdzić godzinę, unióś się na łokciu. Łóżko skrzypnęło. Wyciągnął po omacku rękę i palcami natrafił na zimny blat nocnego stolika. Ale dopiero wówczas gdy nie znalazł zegarka w miejscu, na którym zawsze go kładł, rozbierając się, uświadomił sobie, że niepotrzebnie się fatyguje. Zegarek nie mógł leżeć na nocnym stoliku, ponieważ od paru dni spoczywał w lombardzie.

„Jak to trzydzieści złotych? Ostatnim razem ocenił pan ten sam zegarek na osiemdziesiąt...” – Gielbard pamiętał, jak mówił to z nieporadnym oburzeniem, zdruzgotany śmiesznie małą ceną zaofiarowaną przez taksatora. Starzał się go przekonać. Przecież poprzednim razem otrzymał za ten sam zegarek całe osiemdziesiąt złotych, nie tak dawno, najwyżej trzy miesiące temu... „Trzydzieści – przerwał ostro taksator. – Tyle jest wart zegarek”. Gielbard bezmyślnie wpatrywał się w chudą, pożółkłą twarz urzędnika. „Więc jak? – powiedział tamten już wyraźnie zniecierpliwiony. – Chce pan?” Czy chce? Czy chce? Wcale nie chce! Musi. Tymczasem z tyłu, z długiej kolejki stojących, już się dały słyszeć niezadowolone głosy, że zabiera czas, że tyłu ludzi czeka, że coś tam jeszcze. Padał tego dnia jesienny dokuczliwy deszcz. W ciasnym lombardzie było duszno od wilgotnej odzieży. Śmierdziało biedą. Otrzymałszy numerek do kasy, Gielbard przeciskał się przez tłum, obliczając, że tych nędznych trzydziestu złotych nie wystarczy nawet na zapłacenie zaległych rachunków za gaz. Termin płatności dawno już minął. Tylko patrzeć i przyjdą z gazowni zamknąć licznik.

Groźba podobnej możliwości nagle go teraz dosięgła i do reszty otrzeźwiła. Wprawdzie po chwili zdał sobie sprawę, że rachunek za gaz został ostatecznie zapłacony, jednak sen go już odbiegł. Boże, jak się też człowiek morduje! – pomyślał. Do żywego poruszyło go wspomnienie dnia, kiedy to od samego rana do późnego popołudnia machinalnie załatwiał klientów pochłonięty nieustanną obawą, że każdej chwili może się zjawić urzędnik z gazowni i zamknąć licznik. To było

dwa dni temu, we wtorek – obliczył mozolnie – oczywiście w przeddzień Wigilii, a więc wczoraj było pierwsze święto... – Odetchnął z ulgą. Jakżeż mógł zapomnieć, że akurat są święta! Wszystko teraz stało się jasne. Nie było w tym nic dziwnego, że szły pociągi. Godzina nie musiała być późna. Miał dość czasu, aby porządnie się wypaść.

Położyli się do łóżek wcześniej. Któraż to mogła być? Dziewiąta chyba, nie później.

– Jedyny przynajmniej dzień w roku, że człowiek może się wypaść i nie zrywać do świtu – mówił do Emilii, rozbierając się.

Emilia stała przed lustrem i zawiązywała włosy na noc.

– Jeszcze Wielkanoc – powiedziała.

Tak właśnie powiedziała: „Jeszcze Wielkanoc”, ani słowa mniej, ani słowa więcej, i to takim tonem to „jeszcze Wielkanoc” wypowiedziane, jakby owych dni do porządnego wyspania się było Bóg wie jak dużo, co najmniej dwieście, a nie dwa. Może dlatego właśnie Emilia chciała jeszcze czytać „Kurier Warszawski”?

Został jej ten zwyczaj czytania wieczorami z dawnych dobrych czasów. Mówiła, że on niech robi, jak chce – chce spać, więc niech śpi, ale jeśli o nią chodzi, to ona absolutnie nie może tak wcześniej iść spać, do czegoś to podobne o dziewiątej w łóżkach, kości zabolą od leżenia i w ogóle, czy nie szkoda życia, żeby je przespać?

W Gielbardzie wezbrała gorycz. Szkoda życia! Kości mogą zabołeć! A od harowania dzień w dzień po siedemnaście godzin to nie mogą zabołeć? Już otworzył usta, żeby to powiedzieć, lecz zatrzymał się w porę. Po co mówić takie rzeczy? W jakim celu? Z góry wiedział,